

Aivaras Veiknys

Epoka kamienia

Chłopcy bawią się w wojnę

Przyjechali naprawiać wodociąg,
nawieźli różnego sprzętu,
zasuwali kilka dni –
wykopali transzeję przez całe podwórko,
wielkie góry po bokach.

Teraz już żadnych zasranych pukawek,
żadnych tam leżysz martwy,
teraz już – naprawdę:

siedzimy po przeciwnych stronach linii frontu –
nasze kieszenie pełne ziemi
nasze serca pełne gliny –
miotamy grudy i kamienie, miotamy
grudy i kamienie.

Gdy się ściemniło –
gdy się już dobrze ściemniło –
matka wystawia głowę przez kuchenne okno –
rozgląda się pijana, nie widzi,
kwiczy jak świnia:

– Gnoooje, do domuuuuu, powiedziałam!!!

Jaki tam dom, gdyśmy w ogniu bitwy –
świszczą grudy i kamienie, świszczą
grudy i kamienie,
iskry sypią się z uszu.

Na końcu
zostajemy tylko ja i brat:

guz na moim czole,
łza w jego oku,
czarne okno kuchni
macha firanką na powitanie.

A w środku nocy –
w środku najgłębszej nocy –
matka zrywa się nagle i cicho, na palcach
zagląda do nas: leżymy tacy jednakowi,
toczka w toczkę,
że nie odróżnić, który jest bardziej martwy.

Dym

W tym wierszu potrzebny jest dym –
żaden z niego rzeczownik, raczej –
tryb rozkazujący,
który każe mi działać:
machać rękami,
zdzierać stęchłe zasłony czasu,
wreszcie – widać obrazy,
co wydawały się już
zapomniane.

Dym nie ma ciała, wyraźnej
konsystencji – unosi się w powietrzu
jak nocny motyl, płacze się sam ze sobą, miesza
z tytoniowym dymem;

z rozkaźnika zmienia się w przymiotnik,
który jak sufler podpowiada fragmenty
dzieciństwa.

Dym –
ogromne pole nad jeziorem
z czupryną sitowia;
tu nas przywozili
do kopania ziemniaków: ludzie o spoconych twarzach –
ich żywy cmentarz powoli wiosłuje motykami...

Dym –
to wiatr od jeziora.
Dym –
to wrony lecące z wiatrem...

A potem już – kobyła o smutnych oczach,
wóz pełen worków...

Dawano nam tyle,
że zawsze później brakowało...

Dym
jest w tym wierszu
po to,
bym nie wszystko mógł sobie przypomnieć.

Przyfrunął

W pewien sierpniowy wieczór –
zjawił się jakby znikąd –

walnął dziobem
w szybę balkonu –

szalał –

słał pozdrowienia
Stamtąd – –

– przesady, bujdy,
niedorzeczność; styczeń

cienkimi igiełkami stuka
do serca, matka
leży w szpitalu –
połowy ciała pozbawiona,
jak gdybym słowa wyrąbywał siekierą – –

mówię: mamo, tylko
się trzymaj; a sam
lecę w przepaść,
ściskam jej nieżywą rękę.

Czas cudów

Z brzękiem łańcuchów skończy się listopad,
dym będzie skręcał lekko na południe,
szczypta soli, błoto i to, co jest brudne,
przez noc zostanie przysypane, popatrz,

pierwszym śniegiem; gdy po drewno skoczysz,
zaskrzypi świat, zapłaczą świnię w chlewie –
szytylet nie przebił serca, więc kolej na ciebie
abyś je karmił; pod oknami kroczyć

będzie kurze stadko, nastanie grudzień –
oko Wenery w niebie się obudzi
i śpiące dzieci będzie obserwować,

piła przerzedzi świerkowy zagajnik
i cud się zdarzy, choć całkiem banalny –
Rzymianom doniesie na ciebie niemowa.

Wędziagoła*

Cmentarz, ubogi polski cmentarzyk,
gdzie – wraz z innymi – na wieczny odpoczynek
położyli się dziadkowie C. Miłosza;

środek dnia, ogródek zalany słońcem,
mały przedszkolny ogródek: dziewczynki, chłopcy; ja –

przywlekła mnie do teściów żona, przechadzam się
wąską ścieżką, obcy, dżgany spojrzeniami

tutejszych żywych i umarłych,
jednych od drugich dzieli kilkadziesiąt
nieprzeżytych lat, zarośła,

ten jedyny łączący ich płot.

* Miasteczko w rejonie kowieńskim.

Udźwignąć

Połowa kumpli z podwórka chodziła do pakerni,
ja też postanowiłem
wziąć z nich przykład.

W tej pakerni było dużo luster –
i pierwszy ciężar, jaki musiałem udźwignąć –
moje w nich odbicie.

Pakowałem miesiąc, lecz widok
ani trochę się nie zmieniał.

Gdy już mi się wydawało, że sprawa jest beznadziejna,
że po co się tak męczyć, nic z tego nie będzie –
umarł dziadek.

Jego zwłoki wystawili w głównej sali pogrzebowej miasta –
właśnie nad naszą pakernią.

Wszedłem po schodach na górę; zszedłem po schodach
na dół; spojrzałem w lustro –
i Arnold Schwarzenegger spojrzał z lustra
na mnie –

I nie było takiej rzeczy, której nie mógłbym udźwignąć.

I nie będzie.

Inne życie

W szkole najbardziej nie lubiłem długich dystansów –
wrywałem gwałtownie do przodu, pędziłem co sił
w nogach, po jednym okrążeniu dostawałem zadyszki,

nerwowo spoglądałem przez ramię, sprawdzałem –
na ile ich odsadziłem, czy nikt mnie nie dogania; być
pierwszym znaczyło dla mnie wszystkim coś udowodnić.

Ale raz, w dziesiątej czy jedenastej klasie,
padłem bez tchu na wilgotną trawę stadionu i leżałem,
aż wszyscy mnie prześcignęli, nawet dziewczyny.

Wreszcie pojawiła się dziewczyna, której
niczego nie musiałem udowadniać –
leżeliśmy oboje w trawie,
po prostu – –

– i tylko ta dziewczyna została – – teraz,
gdy długie są wszystkie dystanse,

próbuję je słowami pokonać, bo wszystko,
co mi się przydarzyło, już dawno zmieniło się w słowa i te słowa
muszą ze mnie wyjść –

teraz potrzebuję słów innych –

by życie znowu rozpocząć –
teraz potrzebne mi
inne życie.

Łóżko

Jęczące przy najmniejszym ruchu –
stare i twarde –
od 13 lat pograżone w żałobie łóżko –

w nim skonała moja babcia –

był środek dnia, grzało marcowe
słońce; w pokoju obok
zrzynaliśmy chemię,
a potem, jarając red & white'a

za lita siedemdziesiąt dziewięć,
graliśmy
w karty na długi.

Kątem oka,
przez szparę w drzwiach,
obserwowałem, jak się porusza
babciny brzuch:

niczym boeing,
pełen nietrzeźwych pasażerów,
unosił się i opadał,
unosił i opadał,

aż skończyło mu się paliwo.

Wynieśliśmy ją,
zawiniętą w białe prześcieradło, i –
raz, dwa, trzyyy! –
rzuciliśmy na furgonetkę; chwilę

podreptaliśmy w miejscu
i poszliśmy grać dalej,
na długi.

Miasto mojego dzieciństwa

Lwów jest wszędzie
pisze Adam Zagajewski,
a moje sny to potwierdzają:
dokądkolwiek się udaję,
miasto mojego dzieciństwa tkwi we mnie,
przyczajone jak nielegalny pasażer w kajucie statku,
jak gapowicz na tylnym siedzeniu w autobusie,
bez paszportu, bez biletu
bez określonego celu podróży –
tykająca bomba zegarowa w najskrytszym
zakamarku serca,
kiedy wybucha, czuć zapach dymu:
to płonące stosy liści na ulicy Przyjaźni,
to rozmiękły w listopadzie śnieg,
to zranione pisklę wrony z obłędem w oku,
to dudnienie futbolowej piłki
o obręcz kosza,
to świeże bułeczki za 3 kopiejki –
trudno byłoby dziś ustalić chronologię,
takie to poplątane,
tylko kontekst
pozwala się trochę orientować...
ojciec służył w Mongolii,
był czołgistą,
w Dzień Zwycięstwa nadmuchiwał dla mnie balon,
jak się spił, zaczynał wrzeszczeć –
ubju, skatina!
czasem myślę, że może naprawdę zabił,
że może nie zdążyłem urosnąć,
że 31 znaczy tylko 13,

że pozostałem tamtym dzieciakiem z szarych bloków,
co trzyma w garści chleb posypany cukrem
i obserwuje złego psa sąsiadów,
który na łące za domem
chwycił zębami,
ostrymi jak łapka na myszy,
wyrywając się krowę
za wymię,
aż trysnęła krew.

Epoka kamienia

kamienie są jak ludzie – mawiał –
każdy ma swoje ukryte życie,
niezniszczalną jak ziemia pamięć...

pamiętam,

mocne i piękne wyrastały ogrodzenia –
warte tych wszystkich nagród, które stopniowo
przepuszczał...

mój ojciec był silnym kamieniarzem,
znacznie silniejszym od tych, z którymi mnie
porównują tępi krytycy –

ciężki jak te jego kamienie,
może nawet cięższy od całej ich przyczepy, załadowanej
na kamienisku gdzieś pod Birzami...

dwa zawsze nosił w kieszeniach spodni –
poczerniałe i twarde, wielkości pięści,
nie daj Bóg, jeśli je wyciągnął...

mój ojciec, którego już nie ma, wciąż jest kamieniem
węgielnym w surowym kamiennym świetle –
tyle w swoim życiu zbudował,

tyle zburzył.